

W Budapeszcie.

(Koresp. własna „Kurjera Warszawskiego.”)

Wiedeń, 23 kwietnia.

Niepomyślne przepowiednie meteorologiczne na czas wielkanocny, prof. Myrbacha, przepowiednie — które nie przyniosły zaszczytu „wiedeńskiemu prorokowi“, a naraziły na ogromne straty hotelarstwo austriackie, skłoniły mnie w tym roku do szukania odpoczynku i rozrywki nie w przepięknych okolicach Wachau, lub w górach alpejskich, lecz w stolicy węgierskiej. Normalnie, to znaczy, gdy pogoda dopisuje, odbywa się wycieczkę do Budapesztu statkiem, gdyż jazda Dunajem obfituje w tyle malowniczych krajobrazów, że — mimo iż trwa dwa razy dłużej niż koleją — woli każdy drogę rzeczną. Zimno i niepogoda w przededniu świąt kazały jednak wybrać drogę kolejową, skróconą obecnie dzięki ułatwieniom pasportowym na granicy austriacko-węgierskiej do wymiarów prawie przedwojennych. Wyjechawszy bowiem z dworca wschodniego o godzinie drugiej po południu z Wiednia, przybyłem do Budapesztu już o godzinie siódmej wieczorem.

Plan mój spędzenia świąt wielkanocnych w Budapeszcie nie zrodził się oczywiście tylko pod wpływem złych prognoz Myrbacha, lecz był wynikiem rozważań także zawodowo-dziennikarskich. Ostatniemi czasy mówiło i pisało się zarówno w Wiedniu, jak w Budapeszcie tyle o możliwościach porozumienia, z początku gospodarczego, a w następstwie także politycznego między Austrią a Węgrami, tyle zrodziło się tutaj — zwłaszcza w związku z oczekiwaniem ustąpieniem Seilpla z kierownictwa partji chrześcijańskiej — pogłosek i kombinacji na temat środkowo-europejskiego bloku katolickiego, tyle nasłyszalem się o wzmożonej akcji heimwehrowej na pograniczu austriacko-węgierskiem (w Burgenlandzie), idącej rzekomo równoległe z pewnemi zamierzeniami węgierskimi, że byłem właściwie wdzięczny wiedeńskiemu fałszywemu prorokowi, że zachęcił mnie do wyjazdu do Budapesztu i do spoglądnięcia na sprawy środkowo-europejskie pod wpływem innego otoczenia i odmiennej atmosfery.

Pierwsze wrażenie, jakie odniosłem tuż po przyjeździe było bardzo silne. Miałem przez chwilę poprostu złudzenie Wiednia przedwojennego. W przewalającym się głównemi ulicami tłumie dominowało staroaustrjackie „czako“ oficerskie, jak wogóle nuta wojskowa, dawno zapomniana w Wiedniu, nadawała obrazowi ulicy budapeszteńskiej szczególny charakter. Prawda, że w czasie świątecznym wpływa do stolicy węgierskiej silny strumień gości z prowincji, wśród których element żołnierski względnie oficerski jest licznie reprezentowany. Prawda też, że w przeciwieństwie do Wiednia oficerowie-inwalidzi noszą swoje mundury wojskowe, mimo, że nie należą do żadnej czynnej grupy armji. Ale faktem pozostaje, że gdy Wiedeń na każdego obcego robi wrażenie miasta „cywilnego“, Budapeszt mimowoli przypomina swoją łączność fizyczną i duchową z wcale tutaj nieprzedawnioną przeszłością...

Budapeszt robi także wrażenie miasta wybitnie religijnego. W ciągu kilkudniowego mojego tam pobytu zwiedziłem w różnycy porach cały szereg świątyń wszystkich wyznań i zawsze i wszędzie torować sobie musiałem drogę po przez nieprzejrzane tłumy modlących się i to nie kobiet i dzieci, lecz mężczyzn. W „czerwonym“ Wiedniu widok to zgoła niewidziany. Ale pomijając ilość, która mogłaby przecież być przypadkową, przykuwała mnie żarliwość modlących się. Tak modlą się tylko ci, co poza chlebem powszednim, wymodlić chcą od Niebios inne dary i łaski. Węgrzy — zapewniano mnie — modlą się i to bez różnicy wyznania, o zmianę granic państwowych.

Zbłądziwszy w przechadzce po Budapeszcie w jednym z dalszych okręgów przystąpiłem do posterunkowego, przystrojonego w śmieszny nieco, bo stożkowatą „pikelhaube“, a nie znając języka węgierskiego, usiłowałem z nim porozumieć się po niemiecku, jednak bez skutku. To samo pytanie, powtórzone w języku francuskim i angielskim dało ten sam wynik: nem tudom. Dopiero przy pomocy włoszczyzny udało mi się uzyskać potrzebne informacje. Dla przekonania się, czy jest to objaw przypadkowy, czy też symptomatyczny, powtórzyłem na innej uli-